Nr. 33. We Lwowie dnia 19. sierpnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z ALP.

(WRAŻENIA).

II.

Na Teufelsbruecke.*)

1.

Czekamy słońca... Jedna wielka chmura
Świat pochłonęła i dżdżem w oczy bije
Wędrowcom, światła spragnionym; ponura
Mgła pierś nam ciśnie, chwyta nas za szyję,

Dreszcz wlewa w kości... Szarych kłębów góra
Zaległa przepaść, a wśród nich się wije
Z szumem i hukiem bielsza mgła... Wichura
Coraz to grubszy piętrzy wał i kryje

W dżdżystej kurzawie i tę bielszą wstęgę:
Huk tylko słychać, syk i szum w mgle ciemnej,
Kłąb tylko widać za kłębem — bez końca.

Cóż nam rozwieje dzisiaj tę potęgę
Chmur kotłujących? Byłbyż trud daremny,
Co nas tu przywiódł?... Ach! czekamy słońca.

2.

Mgły z mgłami wiodą jakiś straszny taniec,
Hukiem i szumem mgła im w takt przygrywa;
W krąg cały przestwór — istny rozpasaniec —
Przy tej muzyce w mgławych pląsach pływa.

Nic nam innego promienny kaganiec
Nie wskaże dzisiaj? Patrz! patrz! mgieł przędziwa
Rwą się — z ich głębin czarny, skalny szaniec
Swoje potworne czoła wydobywa:

Wśród opoczystych ścian żelazne bramy,
Nad niemi lufy armatnie »Witamy«
Szepcą z otworów.... i jeden i drugi

Zjawia się żołnierz, warowni obrońca...
A tam odsłonią krzyż wilgotne smugi,
W dżdżach wykąpany... Ach! czekamy słońca.

3.

Huk, szum i syki i mgła czarnopłowa,
Pochłaniająca cały świat,.. Z jej toni
Naraz się widmo straszliwe wyłoni,
Z mgieł ma ramiona i z mgieł jego głowa.

Słania się, rośnie... Czart to, co się chowa
W tych wściekłych pianach? co te chmury goni?
Patrz! jakaś czerwień ocieka mu z dłoni:
Krew z dżdżem zmieszana... To duch Suworowa!

Słania się, rośnie, falą mgieł się zbliża,
Gdzie na opoce bieleje znak krzyża,
Staje i rzęrzy: »Jam-ci twój obrońca!«

A krzyż na zimnym, zwilgotniałym złomie,
Wpół przysłonięty, leży nieruchomie...
Mrok się powiększa... Słońca! słońca! słońca!

Andermatt d. 22. lipca 1895.

Jan Kasprowicz.

*) Na *Teufelsbruecke* pod Andermatt spędziliśmy w zimnej dżdżystej chmurze dzień cały: od czasu do czasu mgła się przerzedzała, odsłaniając olbrzymie, czarne granie, zmienione ręką ludzką na fortecę. Na jednej z tych imponujących, a groźnych ścian widnieje w białem obramowaniu wielki krzyż, wyryty w skale. Straszliwy wodospad Reussy, niezwykle koło Tenfelsbruecke szerokiej, rozpryskujący się pod nami z nieopisanym szumem i hukiem, wyglądał w chmurze tej na wstęgę mgły nieco bielszej od tła ogólnego. W miejscu, obok którego staliśmy, oparci o kamienną balustradę mostu, wpatrzeni w ten potężny, nie dający się przedstawić obraz przyrody, wsłuchani w ogłuszający huk i szum, odbyła się słynna w dziejach bitwa Suworowa z wojskami Napoleona I. Nie podobna w istocie pojąć, jak istoty ludzkie mogły opanować żywioł, szalejący śród gładkich, spadzistych, nieb sięgających brzegów. — Powyższe sonety słabem są tylko odbiciem obrazu widzianego i wrażeń doznawanych. Mgły ustąpiły dopiero pod wieczór i wtedy to mogliśmy sobie zdać sprawę z tego groźnego piękna, jakie w tem miejscu stworzyła Przyroda.

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

(Ciąg dalszy).

Dalszym argumentem przeciw szukaniu źródeł wyobrażeń mitycznych w tak odległej epoce jest sam kierunek drogi prowadzącej z owej proetnicznej epoki do czasów historycznych. Droga ta, którą przechodzić miały wszystkie podania byłaby więc podobną do rzeki rozgałęziającej się w coraz to mniejsze ramiona, a stosunek wierzeń etnicznych do proetnicznych możnaby sobie wyobrazić w kształcie drzewa genealogicznego, formy mocno zachwianej już w lingwistyce porównawczej przez tzw. teorją undulacji, przedstawiającą pokrewieństwo grup językowych, w postaci wzajemnie przecinających się kół odśrodkowych. Wierzenia i wyobrażenia ludowe nie są odgraniczone murami plemiennych różnic, te zaś nie są równoznaczne z różnicami językowemi. W czasach historycznych odbywają podania wędrówki od jednego ludu do drugiego, przez zawiązywanie politycznych, religijnych lub ekonomicznych stosunków. Stosunki te należy tylko z uwzględnieniem teorji ewolucji odnieść do czasów pierwotnych, a idealny obraz rdzennie rodzimych wyobrażeń plemiennych zabarwi się realistycznie przymieszką obcych, importowanych wpływów. Przeniesienie wielu kultów z Orjentu do południowej Europy wykazano namacalnie w mitologji greckiej i rzymskiej. Trojakie mogły być drogi, któremi — pomijając naturalne stosunki graniczne — przechodziły znów wyobrażenia wschodnie z południowej Europy na północ. Najprzód dostawały się do nas razem z innymi przedmiotami handlu karawanami fenickiemi. Powtóre nie jest wykluczoną możliwość importu wyobrażeń, pod wpływem kartagińskim, wreszcie niektóre zwyczaje i wierzenia orjentalne szerzyła kultura klasyczna, chrześcijaństwo tudzież islam. Wszystkie te wpływy mogły działać razem, albowiem tradycja ludowa nie jest tak jednolitą, żeby przypuszczać należało jedyne, wspólne źródło pochodzenia.

Przeciwko szkole Kuhna-Müllera wystąpili z innej strony tz. »demonologowie«, odnoszący do prearyjskiej wspólności nie owe potężne bóstwa, jak np. Zeus, Apollo, lecz właśnie niższe demony żyjące do dziś w naszych zabobonach ludowych jako wilkołaki, upiory, dziwożony itp. Już szkoła Grimmów widziała w dzisiejszych obrzędach i zwyczajach ludowych zaniki dawnych wierzeń, ztąd owa staranność z jaką zbierała najdrobniejsze szczegóły z życia obyczajowego ludu. Do tej szkoły zaliczają się we Włoszech Angelo de Gubernatis (*Zoological mythology* 1874 *i La Mythologie des plantes* 1882 przekład niem. Hartmanna francuski Regnaud'a). We Francji Gaston Paris (*Petit Poncet et la grande ourse Paris* 1875) w Czechach Grohmann, Hanusz i Zibert, u nas Kolberg i wielu innych. Cała ta szkoła nie tłómaczy dośc jasno powstania podań. Przypuściwszy, że mity o bogach były dziełem twórczej fantazji ludowej, zachodzi pytanie z jakiej przyczyny ten sam lud, postępujący przecież w umysłowym rozwoju, skoszlawił swą religję. Starsi uczniowie Grimma twierdzą, że chrześcijaństwo, spaczyło potężne bóstwa pogańskie. Atoli złe duchy i demony sprzeciwiają się nie mniej wierze chrześcijańskiej, jak owe potężne bóstwa, a przecież ostały się wobec chrześcijaństwa, zresztą wiara ludowa zachowała ten sam zabobonny charakter i u takich ludów (np. w klasycznej Heladzie), do których wiara chrześcijańska nie miała jeszcze przystępu. — Młodsi uczniowie Grimma podają przeto odmienną przyczynę spotwarzenia owej pierwotnej wiary ludowej. Oto wierzenia te pozbawione łączności z wyższemi warstwami miały zupełnie zdziczeć między prostym ludem. Tłómaczenie to wychodzi z założenia, że lud jest twórcą swych wierzeń, a dochodzi do wyników, że lud pozbawiony kierownictwa panów nie zdoła nawet spuścizny swej zachować od zniszczenia.

Te i tym podobne sprzeczności w pojmowaniu rozwoju podań, stara się usunąć W. Schwartz (głównie: *Der heutige Volksglaube und das alte Heidenthum II. Auflage* 1862. *Der Indogermanis he Volksglaube* 1885.) wychodząc z założenia, że w krążących między ludem podaniach tkwi »niższa« mitologja, której nie uważa za ostatni oddźwięk klasycznych mytów o bogach i bohaterach, jak to czynią jego poprzednicy lecz odwrotnie za „embrjonalny« początek owych wielkich mytów. W tym kierunku poszedł dalej W. Mannhard (*Wald und Feld Culte 2 Bände* 1887. *Mythologische Forschungen* 1884.) Wierzenia całego narodu pozostają z jego rozwojem kultury własnością niższych warstw, zatrzymując z przeszłości umysłowe twory wyższych klas lub ściągając je do swego poziomu. Przystosowują się one poniekąd do nowych systemów religijnych, rdzennie jednak pozostają niezmienne. Przeciw tym zapatrywaniom wystąpił U. Jahn (*Die Opfergebrauche bei Ackerbau und Viezucht* 1880.) dowodząc, że w dzisiejszych zabobonach ludu zachowały się szczątki starożytnych kultów ofiarnych wielkiej plejady bóstw. (Porównaj: *Van den Gheyn. Essais de Mythologie comparée Paris* 1885). Elard Hugo Meyer, jeden z najgorliwszych zwolenników szkoły demonologicznej wychodząc w głównem swem dziele Indogermanische Mythen 1887. z ewolucyjnego założenia, że wyobrażenia niskie poprzedzają wyższe, twierdzi, że dzisiejsze baśnie ludowe są starsze od klasycznych mitów bohaterskich, a nawet od wedyjskich hymnów i uważa je za objaw szczątkowy, (techniczny wyraz użyty poraz pierwszy przez Tylora, po angielsku: *survival*, po niemiecku: Rudiment, po francusku: *survivance*) praaryjskich wierzeń. We Francji na-

leżą do tego kierunku Gaidoz i Rollan i cała falanga Folklorystów (Porów. Przegląd bibljograficzny Folkloru u. Gustawa Meyera: Essays Berlin 1885). W Anglji Tylor i Andrew Lang. Ten ostatni występuje przeciw pojmowaniu mitu jako wytworu czysto ludowego. Mitologja grecka nie była zdaniem jego właściwie nigdy własnością ludu greckiego, który był lepiej obznajomiony z fetyszowemi kamieniami niż z bóstwami kapłanów i poetów. Nasze dzisiejsze baśnie są bezpośrednimi potomkami prastarych wierzeń, które z jednej strony rozwinęły się jako mitologiczne systemata dla wyższych warstw narodu, a z drugiej strony w stanie nierozwiniętym, zatrzymane przez maluczkich, dochowały się w ustnej tradycji aż do naszych czasów.

Przeciw teorji tej występuje w Anglji głównie szkoła B. Bradley'a (*Akademy* 1885 i następ.) wychodząc z następującego założenia. Podanie składa się z dwu pierwiastków, z podmiotu i orzeczenia. Skoro podmiot podania porwany wirem czasu, zanurzy się w falach zapomnienia wówczas lgnie na podstawie prawa psychologicznego pozbawione treści orzeczenie do innego podmiotu, który je dalej z sobą unosi. Wybrani ludu starają się nieustannie powiększyć zasób jego wyobrażeń, lecz przez to rozkrzewienie nowych idei tracą wierzenia swą pierwotną czystość, zbliżając się do sposobu myślenia warstw niższych i mieszając się z ich zabobonami.

C. d. n. *Henryk Biegeleisen.*

Mniszka-chorąży

(La monja Alferez).

(Ciąg dalszy).

IV.

Wyjechawszy z Truxillo i zrobiwszy więcej, niż ośmdziesiąt mil drogi, przybyłem do miasta Limy, stolicy bogatego królestwa Peru, obejmującego sto dwa miasta hiszpańskie, nie licząc mnóstwa miasteczek, dwadzieścia ośm dyecezyj i archidyecezyj, sto trzydzieście sześć *corregidorów*, sądy królewskie w Walladolidzie, Granadzie, Chili etc. Lima posiada biskupa, kościół katedralny w tym guście co Sewilski, z pięciu beneficjami, dziesięciu kanonijami, sześciu prebendami i sześciu pół prebendami, cztery probostwa, sześć parafij, dwanaście klasztorów zakonników i zakonnic, ośm szpitali, jedną pustelnię, trybunał Inkwizycji (drugi znajduje się w Kartaginie), uniwersytet, wice-króla, Izbę wyższą królewską, rządzącą całem Peru, i inne wspaniałości.

Oddałem list mój don Diego'wi de Solarte, bardzo bogatemu kupcowi, obecnie wielkiemu konsulowi Limy. Przyjął on mnie do swego domu uprzejmie i łaskawie i wkrótce potem powierzył mi swój sklep, dając mi sześćset »pesos« rocznej pensji. Spracowałem się u niego tak, że był ze mnie bardzo zadowolony.

Po dziewięciu miesiącach jednak kazał mi gdzieindziej szukać sobie chleba, a to z następującego powodu. Miał on u siebie dwie młodsze siostry żony, z któremi, a zwłaszcza z jedną, bardziej przypadającą mi do gustu miałem zwyczaj zabawiać się i swawolić. Otóż, któregoś dnia, kiedym się czesał na estradzie, leżąc pomiędzy jej spodnicami i bawiąc się jej nogami, dostrzegł nas przypadkowo przez kratę okna pryncypał i dosłyszał, jak mi mówiła, żebym się udał do Potosi po pieniądze i że się pobierzemy. Oddalił się, lecz zaraz potem przywołał mię do siebie, porachował się ze mną, pożegnał i odszedł sobie.

Otóż znalazłem się w niedostatku i pozbawiony odzienia. Werbowano właśnie wtedy sześć kompanij do Chili. Podałem się zaraz na służbę do jednej z nich jako żołnierz i dostałem zaraz dwieście ośmdziesiąt »pesos« żołdu... Skłonności moje popychały mnie do wędrówek i zwiedzania świata... Wcielono mnie do kompanji kapitana Gonzalo Rodriguez i wymaszerowaliśmy z Limy do miasta Concepcion, odległego mniej więcej o mil pięćset«.

V.

Streszczając zbyt szczegółowe opowiadanie, powiemy tylko, że żołnierz-kobieta spotkała w Concepcji brata swego, kapitana wojsk królewskich, od lat kilkunastu będącego na służbie w kolonjach. Ten ostatni ucieszył się ogromnie, biorąc ją na podstawie słów jej, za jednego z młodszych braci, protegował ją i zostawił w swem mieszkaniu, jako żołnierza przybocznego. Trwało to trzy lata blizko, dopóki zazdrość o kobietę nie rozerwała tej przyjaźni i nie była powodem zbrojnego zajścia pomiędzy kapitanem, a żołnierzem i nies powodowała wysłania tego ostatniego do miasta Paicabi, gdzie znów donna Catalina przebywała trzy lata i to znosząc prawdziwe trudy życia obozowego i wojny z plemionami indyjskimi. »Podczas ostatniej bitwy sprawy wzięły zły obrót, zabito nam wielu ludzi, między innymi kilku kapitanów i mego chorążego, od którego wydarto sztandar. Widząc tę scenę, ja i dwóch innych kawalerów rzuciliśmy się w wir walki, depcząc, bijąc i odbierając mnóstwo ciosów. Wkrótce jeden z trzech padł nieżywy. My walczyliśmy dalej i dotarliśmy do chorągwi. Towarzysza mego przewrócono uderzeniem lancy. Ja dostałem niebezpieczne pchnięcie w biodro, lecz zabiłem kacyka, trzymającego chorągiew i odebrałem mu ją tratując, miażdżąc

i raniąc cudownie, lecz byłem także ciężko raniony, przekłóty trzema strzałami i przebity lancą w lewe ramię, co mię też okrutnie bolało. Nakoniec, dobiłem się do swoich i spadłem z konia. Kilku nadbiegło, a pomiędzy nimi brat mój, którego oddawna nie widziałem. Było to dla mnie zbawienne. Wyleczono mnie i zamieszkaliśmy znowu razem.

W dziesięć miesięcy później, brat mój wyprosił dla mnie u gubernatora chorągiew, którą zdobyłem i byłem odtąd chorążym pułku don Alonza Morena.

Pięć lat byłem chorążym. Brałem udział w bitwie pod Puren, gdzie zginął mój kapitan i dowodziłem oddziałem przez pół roku. W ciągu tego czasu miałem kilka potyczek z nieprzyjacielem, przyczem nie zbywało mi na ranach. W jednej z potyczek miałem do czynienia z pewnym naczelnikiem indyjskim, już chrześcijaninem, imieniem Franciszek Quispiguancha, który nas bardzo turbował rozmaitemi napadami. Walcząc z nim, rozbroiłem go i zmusiłem do poddania się, poczem kazałem go zaraz powiesić na gałęzi. Gubernator, chcący go mieć żywcem, rozgniewał się bardzo na mnie i powiedział, że za to właśnie nie da mi dowództwa, przelewając je na kapitana Casaderante.

Potyczki, gra w kości i karty, pojedynki, ucieczki do opiekuńczych klasztorów wypełniały żywot donny Cataliny w ciągu lat kilku, dopóki nowa walka nocna, której ofiarą padł rodzony brat jej ugodzony nieświadomie jej ręką, nie zmusiły jej wreszcie do ucieczki i ratowania życia, wśród stepów bezbrzeżnych i lodowatych Kordyljerów, bez kawałka chleba, z ranami na bosych krwawiących się nogach.

Wówczas to wspomnienia dzieciństwa klasztornego przychodzą jej na pamięć, różańce i hymny błagalne wychodzą z ust rozpaczonej. Blizką zmarznięcia, ratuje przypadek: trafia ona na fermę zamożnej metyski, chcącej po pewnym czasie ożenić gwałtem domniemanego kawalera ze swą córką. W tym samem czasie nosi się z podobnym projektem i sekretarz biskupa w Tukumanie, narzucając mu swą siostrzenicę. Wzięty we dwa ognie, podwójny pseudo — narzeczony salwuje się przed ślubem na mule, wyprowadzonym ze stajni niedoszłej teściowej.

Czekały go jednak gorsze jeszcze chwile:

»Wracając do domu, po pewnej zwadzie karcianej, spostrzegłem człowieka, czekającego na rogu ulicy. Odrzuciłem płaszcz, dobyłem szpady i szedłem naprzód. Tymczasem on, zbliżywszy się, rzucił się na mnie, krzycząc: »łajdak rogonosiec!« *(gueux de cornard)* poznałem go po głosie. Skrzyżowaliśmy szpady, a zaraz potem przeszyłem go swem ostrzem tak zręcznie, że padł martwy.

Zostałem tam chwilę, myśląc, co mam robić. Patrzyłem na wszystkie strony, ale nie widziałem nikogo: Poszedłem do przyjaciela mego Zaragaza'y i położyłem się spać, nie powiedziawszy ani słowa o owem zajściu. Ale wczesnym rankiem, *corregidor* przyszedł po mnie i poprowadził z sobą. Wszedłem do więzienia, gdzie mi włożono kajdany. W godzinę potem wrócił *corregidor* z pisarzem sądowym, aby mię przesłuchać. Twierdziłem, że nic nie wiem. Chciano, abym się przyznał. Wypierałem się wszelkiej winy. Ułożono akt oskarżenia. Podczas rozprawy zobaczyłem świadków, których nie znałem wcale. Wydano wyrok śmierci. Założyłem apelacją. Pomimo to dano rozkaz wykonania. Byłem bardzo zmartwiony. Pewien mnich wszedł, aby mię wyspowiadać, — wymówiłem się od tego. On nastawał, ja się opierałem. Rozpoczęła się więc prawdziwa ulewa mnichów. Oblegali mię oni kompletnie, ale stałem się Lutrem prawdziwym. Nakoniec ubrano mię w odzienie kitajkowe i wsadzono na konia, gdyż *corregidor* odpowiedział na prośby zakonników, że jeżeli mi się podoba iść do piekła, to go to wcale nie obchodzi. Wyciągnięto mię z więzienia, prowadząc przez oddalone i puste ulice, z obawy przed mnichami. Przybyłem pod szubienicę. Mnichy pozbawiły mnie całkiem przytomności swemi krzykami i popychaniem. Zmusili mię do wejścia na trzy szczeble drabiny, a ten, który najbardziej na mnie nacierał, był to dominikanin, Fray Andrès de San Pablos, którego widziałem i z którym rozmawiałem w Madrycie, blizko rok temu, w kolegium Atocha. — Musiałem iść jeszcze wyżej. Rzucono mi stryczek. Kat zakładał mi go krzywo. — Pijaku, powiedziałem mu, załóż go dobrze, albo zdejm go sobie, gdyż ci dobrzy ojcowie i tak mię już duszą.

Tak stały rzeczy, kiedy nagle przyleciał w całym pędzie kurjer z miasta la Plata'y wysłany przez sekretarza na rozkaz prezydenta don Diego de Portugal, a na prośby Marcina de Mendiola, biskajczyka, który był zawiadomiony o moim procesie..

Ta depesza, w sam czas przybyła, wzbudziła radość wśród litościwego tłumu. *Corregidor* kazał mię zdjąć z szubienicy i zaprowadzić do więzienia, zkąd wyekspedjował mię, pod dobrą eskortą, do la Platy. Zaledwie przybyłem; przejrzano mój proces i zniesiono wyrok (na podstawie nowych zeznań), a we dwadzieścia cztery godziny potem zostałem wypuszczony na wolność«.

Nie dość tego, niedawny delikwent figurował w parę miesięcy później jako reprezentant prawa w asystencji pisarzy, woźnych i olguazilów, czyniąc sprawiedliwość na odległych równinach Mizki i Piscopamby; sam już teraz wydawał wyroki śmierci, zatwierdzane przez sąd wyższy la Platy. Ale burzliwy temperament przyprowadził go do nowego pojedynku, do nowego zabójstwa i znowu inny już *corregidor* skazał awanturniczą biskajankę na karę śmierci. Apelacja nie pomogła, trzeba było gotować się powtór-

nie do ostatniej chwili. »Użyłem całych dwóch dni na spowiedź«.

Dnia następnego odprawiono mszę świętą w więzieniu, a kapłan, dopełniwszy ofiary, dał mi komunją i wrócił przed ołtarz. Natychmiast potem wyplunąłem hostją, którą miałem w ustach, na dłoń prawej ręki, krzycząc: »apeluję do kościoła! apeluję do kościoła!« Wszczął się tumult niesłychany. Mówiono dokoła, że jestem heretykiem. Ksiądz przyszedł podczas tego hałasu do mnie i zakazał wszystkim zbliżać się do mojej osoby. Kiedy już kończył mszę, wszedł biskup, don Fray Domingo de Valderrama, dominikanin, w towarzystwie gubernatora. Księża i lud się zebrali, zapalono świece woskowe, przyniesiono baldachim i poprowadzono mię w procesji do *tabernaculum*. Tam wszyscy uklękli, a jeden z księży, przybrany w szaty kapłańskie, wziął mi hostję z ręki i włożył ją znowu do tabernaculum. Nie widziałem, gdzie ją umieścił. Potem wyskrobano mi rękę, wymyto ją kilkakrotnie i wytarto. Poczem kościół opuszczono, ich miłoście wyszły, a ja zostałem sam jeden. Pewien święty zakonnik, franciszkanin, który był w więzieniu i który ostatni raz mię spowiadał, dał mi, między innemi napomnieniami i tę dobrą radę (postąpienia w sposób wyżej opisany).

Więcej niż miesiąc gubernator trzymał kościół otoczony strażą. Co do mnie siedziałem tam dobrze w ukryciu. Nakoniec zdjął one straże. Jeden z miejscowych dobrych ojców, na rozkaz biskupa, jak mi się zdawało, dał mi mulicę i pieniądze — i pojechałem do Cuzco«. W tym okresie życia wojowniczej eks-mniszki »zmiana powietrza« coraz częściej bywała potrzebną, gdyż przygody rosły na każdym kroku, a wraz z niemi i osobliwsza reputacja zawadjaki, szukającego zaczepki, narażająca na podejrzenia, procesy i śmiertelne choroby. W jedną z tych krwawych kłótni wmięszał się, jako miłosierny rozjemca, biskup miasta Guamanga, który tak umiał poruszyć grzeszne i zatwardziałe serce — że »uczułem się nagle bardzo maleńkim i widząc tego świętego człowieka, wyznałem wszystko, jakby przed samym Bogiem i powiedziałem: »Panie, wszystko, co mówiłem pierwej Waszej przewielebności, jest fałszywem. A oto prawda: jestem kobietą, urodzoną w tem, a tem miejscu, córka takiego to i takiej to, oddaną do klasztoru, w takim to a takim roku i pozostawioną tam pod opieką ciotki. Wyrosłam, wdziałam habit i byłam nowicjuszką. Przed samem złożeniem ślubów uciekłam wskutek takiego to powodu, etc. etc., bywałam tam i ówdzie, na morzu i na lądzie, handlowałam, zabijałam, raniłam, oszukiwałam i latałam po świecie aż dotąd, kiedy oto znalazłam się u stóp Waszej przewielebności«.

Przez cały czas trwania mego opowiadania, tj. blizko godzinę, święty biskup był w niepewności; ucho otwarte, usta zamknięte, oczy nieruchome. Kiedym skończyła, pozostał milczący, płacząc gorzkiemi łzami. Nakoniec powiedział mi, abym poszła odpocząć i zjeść co, a zadzwoniwszy na starego kapelana, kazał mię zaprowadzić do swego oratorjum. Tam ustawiono mi stół, dano materac i wreszcie zamknięto. Położyłam się i spałam. Około czwartej po południu biskup kazał mię znowu przywołać i rozmawiał ze mną nadzwyczaj dobrotliwie, nakłaniając mię do dziękczynienia panu Bogu za miłosierdzie jego nademną, za sprowadzenie mnie z drogi zatracenia i mąk wieczystych. Zachęcał, abym się zastanowiła nad całem życiem i przystąpiła do szczerej spowiedzi.

.. Nazajutrz rano sam biskup odprawił mszę. której wysłuchałem. Po złożeniu aktu dziękczynienia, zabrał mię on z sobą na śniadanie. Prowadził w dalszym ciągu rozmowę z dnia poprzedniego i przyznał, że uważał wypadek ze mną, za jeden z najbardziej zastanawiających w całem jego życiu.

C. d. n. *Rom. Baudouin de Courtenay.*



MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy).

Tegoż dnia był u państwa Widelskich wieczorek, taki sobie, bez tańców, ale bardzo przyjemne czas zeszedł.

Były koleżanki panny Teofili: Józia, Stefcia, Helenka, był narzeczony, jeszcze kilka osób, ciotka Weronika, sami blizcy znajomi i krewni. Brakowało tylko wuja Marcelego, który wystarał się o dłuższy urlop i pojechał na wieś, niby na odpoczynek.

Całe towarzystwo było niezmiernie ożywione, nawet pan Ignacy, zazwyczaj poważny i milczący, rozweselił się, rozruszał, nadskakiwał narzeczonej, znać było po nim, że jest szczęśliwy.

Ciotka tego wieczoru rozmawiała długo z panią Joanną i obie zgodziły się na jedno, a mianowicie, że to co się stało, dobrze się stało i że przyszłość Teofilki jest już zapewniona.

Od tego dnia upłynęło cztery tygodnie zaledwie, a w postępowaniu i w całem zachowaniu się panny Teofili widać było szczególną zmianę.

Straciła na humorze, ona taka zawsze ruchliwa, żwawa, ożywiona, spoważniała i nieraz całemi godzinami siedziała w zadumaniu. Rodzice nie zważali na to, sądząc że spodziewana zmiana losu taki wpływ na usposobienie ich córki wywiera, ale ciotka zaniepokojona brała pannę Teofilę na indagację.

— Co ci jest? pytała kilkakrotnie, — czem ty się martwisz?

— Ależ niczem, nie mam żadnego powodu.

— Ej dziewczyno, ty coś ukrywasz przedemną, a to źle. Ja bo widzisz, doświadczona jestem, w niejednym wypadku dobrą radę dać mogę, a o życzliwości mojej chyba nie wątpisz.

— A ciociu — odrzekła z wymówką, — czyż możesz mnie o to posądzać?

— A więc, moje dziecko... cóżem to chciała powiedzieć? aha... otwórz serce przedemną.

— Kiedy naprawdę nic skrytego nie mam.

— Ja widzę. Mów co chcesz, a ja widzę. Chociaż to wszystko jest głupstwo, ale ja także w swoim czasie byłam zakochaną, byłam narzeczoną, zajmowałam się wyprawą. Wprawdzie później nie tak się stało jak sobie wyobrażałam, wprawdzie źle trafiłam, ale w owym czasie nie mogłam przewidywać, że tak będzie. Narzeczonego, który później mężem moim został, kochałam. Nie warto się przyznawać do takiego głupstwa, ale kochałam, szczerze ci powiadam. Byłam wówczas wesoła, szczęśliwa, ufająca, nie tak jak ty teraz.

Panna Teofila usiłowała przekonać ciotkę, że jest zupełnie szczęśliwa.

— Jeżeli zamyślam się czasem — rzekła, — niech się temu ciocia nie dziwi, jest to bardzo ważna chwila w życiu.

— Ważna, ani słowa. Ha może masz rację może mówisz szczerze, ale zdaje mi się, kochana Teofilko, że ty coś kręcisz.

Młoda osoba zarumieniła się mocno, lecz nic odrzekła nic, bo właściwie sama nie zdawała sobie dobrze sprawy ze swego smutku. Powód do niego dla niej samej ważny i poważny, dla kogo innego mógł się wydać błahym i narazić ją tylko na śmieszność. Jej było smutno dlatego, że Ignaś, ów ukochany Ignaś, jej narzeczony, jej mąż przyszły, nie mówił jej tyle o swem przywiązaniu i o miłości, ile owego wieczoru, kiedy wracali z Łazienek i wogóle jakby rozmowy o tem unikał. Mógłby kto powiedzieć, na cóż powtarzać kilkakrotnie jedno i to samo, raz już wyznał to dosyć.

Prawda, ale jej wydawało się, że kto kocha, ten ciągle o tem myśli, toby i mówić powinien. Ona to tak rozumie, po swojemu, może się myli, ale zdaje się jej, że nie... Dlaczego nie powtarzać wyrazów, które mają tak przyjemne brzmienie, które dźwięczą w uszach niby słodka melodja, wywołują rumieniec i przyśpieszone bicie serca? Jeżeli można często, a zawsze z zajęciem widywać piękny obraz, jeżeli można słuchać kilkakrotnie, a zawsze z przyjemnością, dźwięków jakiego utworu muzycznego, to dlaczegoby nie słuchać wyrazów nad wszelką muzykę milej brzmiących.

Nie, nie, to jest jakoś inaczej, nie tak jak trzeba, jak być powinno.

I on, ten Ignaś, jest niby taki jak był, a jednak nie taki. Od owego wieczoru upłynęło zaledwie kilka tygodni, a już jest zmiana. Może jej nikt nie widzi i dostrzega, bo to właściwie nie zmiana rażąca, ale jakiś odcień, drobny, niby niepochwytny, a jednak, dla kochającej kobiety wyraźny.

Tak niedawno jeszcze, gdy przychhodził w pierwszym tygodniu po oświadczynach, na jego twarzy malowała się szczerość i radość teraz znać na niej jakby przymus i zakłopotanie, wygląda jak nie swój. Wpierw, patrzył swej narzeczonej prosto w oczy, obecnie wzrok jego biega po kątach, zatrzymuje się na obrazach, na dywanie, na lampach, dąży ku oknom, jak gdyby zaciekawiał go deseń firanek, albo skakanie kanarka w klatce.

Tego nikt nie obserwuje i nie uważa, ale panna Teofilka widzi doskonale, poznaje, że to nie przypadkowy objaw, ale ciągły i wzmagający się stale. I to uważa, że objaw ten odosobniony nie jest, towarzyszą mu inne jeszcze, niby także drobne, ale mogące wzbudzić niepokój i powątpiewanie.

Na przykład co to znaczy? Zwykle był nieśmiały, dyskretny, trzymał się zdaleka, z chwilą gdy wyznał swoje uczucia, gdy wzajemne wyznanie usłyszał, z tą chwilą śmiałości nabrał. Przy każdej sposobności, gdy na chwilę choćby znaleźli się sami, szukał rączki swojej wybranej, brał ją w swoją dłoń, pieścił i całował. bez upamiętania, bez końca. Teraz ujmuje tę rączkę tylko przy powitaniu, podnosi ją do ust i składa na niej pocałunek, ale taki etykietalny, taki zimny.

Co to znaczy?

I niesłowny jest przytem i bardzo niesłowny, nie dotrzymuje przyrzeczeń. Owego wieczoru, którego miłe wspomnienie na całe pozostanie życie, powiedział, że odtąd codzień, jak tylko się od zajęć obowiązkowych uwolni, przychodzić będzie do swej najdroższej, towarzyszyć jej, gdy z rodzicami na spacer wyjdzie, do teatru, do cyrku, albo też nigdzie nie wychodząc, wieczór przy niej przepędzi

Wszakże to tak naturalne i trudno nawet wyobrazić sobie, żeby inaczej być mogło. Wszakże teraz, gdy jeden wspólny cel ich łączy, jest tyle do mówienia, tyle myśli do wymiany, tyle

powodów no, choćby tylko do wzajemnego patrzenia sobie w oczy, a on, zaraz w pierwszym tygodniu dzień jeden opuścił, w drugim dwa, w trzecim także, a teraz już go od trzech dni nie widać.

Ojciec śmieje się z tego i mówi, że człowiek mający się żenić, nie traci wolności osobistej, że nic go nie zmusza, do wyrzeczenia się znajomości, stosunków, do zaniedbania interesów materjalnych, prawda, ale w każdym razie to przykro, to bardzo boleśnie. Ojciec tak mówi, bo ojciec może już zapomniał, jak się kocha, może zobojętniał na to uczucie, może zresztą... któż to może wiedzieć... Może nawet i słuszność ma, ale bądźcobądź, to jest przykre.

Ten Ignaś robi wrażenie bryły lodu, albo nie, on robi wrażenie zachodzącego słońca, wrażenie czegoś takiego co się zaczęło prześlicznie, ciepłem, światłem, jasnością, a kończy się chłodnym, posępnym mrokiem, prawie nocą.

To jest ciężkie, to bolesne... ale może tylko przejściowe. Trzeba się przecież czemś pocieszyć, trzeba tak jak ojciec mówi, przypuszczać, że młody człowiek w takiej właśnie fazie swego życia, ma tak wiele do czynienia, tak bardzo wiele...

Być może, ale to jakoś do przekonania nie trafia, to objaśnienie wydaje się naciąganem i sztucznem. Dzień jest długi, ale choćby dawał jak najwięcej zajęcia, czyz nie można urwać, no, ukraść po prostu godzinę, pół godziny, kwadrans wreszcie dla tej, którą się kocha... Mówią, że dla chcącego nie ma nic trudnego.

Ojciec go tłumaczy. Tam miał być, to miał zrobić, na wszystko czasu trzeba. Ojciec mówi, że dzień ma tylko dwadzieścia cztery godzin Tak ludzie obliczyli, ale czy to prawda? Czasem, gdy ktoś bliski sercu jest obok, gdy się z nim rozmawia, patrzy w jego oczy, to godzina wydaje się krótką jak minuta, a czasem znów, gdy się na kogoś czeka, to dłuży, dłuży i końca nie ma.

Wszystkie te ludzkie, niby takie mądre obliczenia, są bardzo zawodne i względne. Czy godziną jest akurat taka ilość czasu, jaką zegar odmierza? Dla pociągów kolei żelaznych — tak, ale dla tych co kochają — nie! stokroć nie!

Na przykład od ostatniej bytności pana Ignacego upływa, według wszelkich rachunków kalendarzowych i zegarowych, trzeci dzień; można to obliczyć jeszcze dokładniej; dwa dni, siedmnaście godzin, dwadzieścia dwie minuty i jeszcze coś sekund.

Ściśle, dokładnie, tylko nie prawdziwie, bo prawdziwie jest od tej chwili chyba rok, może dziesięć lat, a może sto... któż to obliczy? Każda przejeżdżająca dorożka budzi nadzieję, każdy szmer w przedpokoju, każdy odgłos kroków na schodach.

Mówią, że to trzeci dzień dopiero, a jednak to tak bardzo dawno i pomimo, że dawno, wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły owej bytności ostatniej, żywo stoją na pamięci.

Była godzina ósma wieczorem, wszyscy siedzieli przy stole Wszyscy, to znaczy ojciec, matka, on i ta która tak dobrze wszystkie szczegóły pamięta. Rozmowa była ogólna, ojciec się śmiał i opowiadał różne nowinki, matka nalewała herbatę, on nic nie mówił, patrzył na obraz wiszący na scianie i myślał, o czem? To jego tajemnica.

Wtem, w przedpokoju dał się słyszeć dzwonek.

— Któżby o tej porze? — spytała matka, — gości nie spodziewam się,

— Może Weronika.

Ojciec pośpieszył otworzyć.

— List — rzekł, wracając po chwili.

— List? Szczególna rzecz.

W istocie szczególna. W tym domu bardzo rzadko odbierano listy, Chyba z poczty miejskiej bilet z powinszowaniem imienin, zaprosiny na ślub lub na pogrzeb...

— Zkądże? — zapytała matka.

— Nie mogę dojść — odrzekł ojciec, przyglądając się uważnie pieczątkom pocztowym, — nieczytelne odbicie, wagon pocztowy czy coś podobnego.

— Otwórz-że prędzej, bo jestem bardzo ciekawa.

— Zaraz, pismo to nie jest mi obce — mówił, rozrywając kopertę, ach! poznaję, to od Marcelego!

— Poczciwy! pewnie się dowiedział, że Teofilka zamąż idzie i przysyła życzenia. Pomimo, że Weronisia go nie lubi, ja zawsze powiadam, że to zacności brat, chociaż tylko cioteczny. No, no, czytaj-że prędzej, co on tam pisze?

Pan Ludwik włożył okulary i wyczytał następujące słowa:

»Kochana siostro i drogi Ludwiku!

»Donoszę wam, że od tygodnia jestem żonaty«.

— Co? — zawołała pani Joanna. — Marceli się ożenił?!

— A no, tak pisze, poczekajże duszko, obaczymy co dalej. Otóż:

»Zamiar ten miałem od pół roku, nie mówiłem wam jednak nic, gdyż mam takie usposobienie, że nie lubię zdradzać się przed czasem ze swymi projektami, a zwłaszcza w tym razie. Od ołtarza ludzie się jeszcze rozchodzą. Tak i w tym wypadku, małżeństwo mogło się rozchwiać, nie przyjść do skutku i naraziłbym się tylko na śmieszność; wolałem więc milczeć, do-

póki zamiar nie stanie się faktem. Małżonka moja jest osoba młoda, ma lat dwadzieścia kilka..«

— Dwadzieścia kilka!

»Jest piękna, wykształcona, dobra, wprawdzie nie bogata, ale to najmniejsza wada, ja mam tyle, ze na dwoje wystarczy i jeszcze cokolwiek zostanie.«

— Spodziewam się — wtrąciła paniJ oanna.

»Za dwa tygodnie wracam do Warszawy i osobiście o wszystkiem upewniam. Mam nadzieję, że zechcecie serdecznie przyjąć moją żonę i kochać ją tak, jak mnie kochacie.«

»Wasz przywiązany brat
Marceli.«

— I cóż ty na to, Joasiu? — rzekt pan Ludwik, skończywszy czytanie.

— Zdumiona jestem tą niespodzianką, ale skoro mu to było do szczęścia potrzebne, skoro mu z tem dobrze, to niech mu Bóg błogosławi.

Pan Ignacy dość obojętnie tego listu wysłuchał, potem na ból głowy się uskarżał i przed dziesiątą wyszedł, wymawiając się znużeniem i konieczną potrzebą odpoczynku.

Panna Teofila chciała go ‚zapytać, czy nie jzst chory, ale miał taki szczególnie chłodny wyraz twarzy że ją onieśmielił!

Upływa trzeci dzień, a on nie przychodzi i znaku życia o sobie nie daje.

Czy to nie dostateczny powód do zmartwienia i smutku, czy wobec tego nie można się zamyślać, nie cierpieć i nie tęsknić?

Rumieńce uciekają z twarzy, oczy łzami zachodzą, serce się ściska, a ciotka powiada, że Teofilka coś kręci.

Czy to sprawiedliwie?!

C. d. n.

Przegląd pism.

Ateneum. — Lipiec. 1895.

K. Bartoszewicz kończy w omawianym zeszycie »Ateneum«, swój ciekawy artykuł o »Rzeczypospolitej Babińskiej«. Na podstawie »Akt rzeczypospolitej Babińskiej«, wydanych według oryginalnego rękopisu przez St. Windakiewicza, nie pomijając oraz i innych źródeł, jakoto: Sarnickiego »Annales« itd., polemizuje autor z poglądem na tę rzeczpospolitę p. Windakiewicza, widzącego w jej fundatorach (Pszonkach) genialnych satyryków, którzy czerpali pełną ręką żywy materjał w bieżącem życiu politycznem. P. Windakiewicz uważa »Babin« za coś w rodzaju klubu politycznego stronnictwa ziemiańskiego małopolskiego, stojącego na gruncie spółczesnego liberalizmu i tolerancji religijnej i skupiającego w sobie niemal całą inteligencję Polski«. P. Bartoszewicz podnosi fakt, że towarzystw tego rodzaju, co babińskie, było na świecie i nawet w Polsce dużo (np. jeszcze w połowie tego stulecia w Kaliskiem istniała »rzeczpospolita kleczewska«, od miasteczka Kleczewa, pow. Słupecki). Mało jednak o nich pisano i tylko Babinowi poszczęściło się i stąd jego sława. Rozejrzenie się jednak uważne w aktach prowadzi p. Bartoszewicza do następujących, szeroko i, przyznać trzeba, przekonywująco motywowanych wniosków, a mianowicie:

a) Rzeczpospolita Babińska za czasów Jakóba i Adama Pszonki nie miała żadnej organizacji, nie była też instytucją humorystyczną, lecz zabawką właścicieli Babina, polegającą na niewyszukanem kłamstwie.

b) Dowcipu w Babinie w tej epoce było niesłychanie mało, a za to od czasu do czasu sporo pijatyki.

c) Babinem współcześni wcale się nie zajmowali, bo głucho o nim wszędzie, nawet tam, gdzieby się wzmianki o nim spodziewać należało.

d) Nie był on nawet jakiemś wybitnem ogniskiem towarzystwa, gdyż dość rzadko zgromadzał u siebie szlachtę i inteligencję, choć miał nadzwyczajną łatwość potemu.

e) Stosunki właścicieli Babina z wybitniejszymi ludźmi ich czasów niczem się nie różniły od stosunków, jakie mieć musiał każdy ***bene natus et possessionatus.***

Trudno więc wobec tego mówić, że Babin był salonem obywatelskim, najstarszym i najznaczniejszym w dawnej Polsce (Windakiewicz), a trzeba mieć chyba olbrzymi polot fantazji, aby sądzić, że oddziaływał on na społeczeństwo w kierunku obywatelskim i cywilizacyjnym.

Samym aktom babińskim nie można odmówić pewnej, choć nadzwyczaj małej wartości. Może najważniejszą zdobyczą są luźne wzmianki o udziale kobiet w życiu towarzyskiem, zaprzeczające utartemu poglądowi, jakoby kobiety nasze aż do ostatnich czasów były jakby niewolnicami, które tylko domu strzegły i kądziel przędły. Rzadko wprawdzie w »aktach« występują kobiety, ale dotrzymują towarzystwa »tyranom« i chętnie pomnażają zbiór kłamstw babińskich, za co też otrzymują stosowne urzędy.

W urozmaiconym lipcowym zeszycie wskazać jeszcze należy na króciutką rozprawkę p. Kozłowskiego »Przeznaczenie filozofji i powołanie filozofów« i B. Wydżgi obszerne »Słówko w kwestji obniżenia się cen zboża«. *p.*

PRO MEMORIA.

22. sierpnia 1848. Najeźdcy przepędzają w Warszawie czeladników krawieckich za propagandę polityczną przez kije.

29. sierpnia 1794. Ogłoszono powstanie w Wielko-Polsce. Na tak niepomyślną dla siebie wieść Fryderyk Wilhelm, oblegający naówczas Warszawę, przypuścił wściekły szturm do naszej stolicy, aby ją opanować, nie odniósłszy jednak żadnego skutku, umknął karetką pocztową do — domu.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.